

ZBIGNIEW DROZDOWICZ\*

## Pozycjonowanie uczonych

Określanie pozycji uczonych ma długą tradycję i ciągle podejmowane są próby jego udoskonalania. Różnego rodzaju zastrzeżenia można mieć nie tylko do tych, które pojawiały się w przeszłości, ale także do niejednej z obecnych. W tych rozważaniach przywołam kilka sposobów tego pozycjonowania i związanych z nimi przejawów niedoskonałości. Ich pierwszą, historyczną część, traktuję jako wprowadzanie do poważnej dyskusji nad tymi sposobami, które stosowane są dzisiaj i przez jednych uznawane są za dużo lepsze od tych, które pojawiły się w przeszłości, natomiast przez innych stawiane są również pod wielkim znakiem zapytania. Moja generalna teza sprowadza się do twierdzenia, że nie było, nie ma i być nie może jednego niezawodnego sposobu określenia pozycji uczonych – nie tylko dlatego, że w nauce dokonywały się i dokonują ciągle zmiany, ale także dlatego, że zmieniało się i zmienia również jej społeczne otoczenie, w tym formułowane pod jej adresem oczekiwania. Bez odpowiadania na te oczekiwania sens traci nie tylko uprawianie nauki, ale także pozycjonowanie uczonych.

### Tradycje pozycjonowania

Tradycje niektórych nauk sięgają czasów starożytnych. Już wówczas pojawiły się pierwsze próby pozycjonowania tych uczonych, którzy mieli istotne dokonania naukowe, i spotykały się one z zainteresowaniem ich bliższego i dalszego otoczenia. Jednym z nich był Pitagoras (ur. ok. 572 r. p.n.e.). Dzisiaj funkcjonuje on głównie jako autor twierdzenia Pitagorasa. Przez jego bliższe i nieco dalsze toczenie postrzegany był on jednak przede wszystkim jako taki filozof, który miał głębokie przemyślenia i niejedną mądrą rzecz do powiedzenia tym, którzy chcieli go słuchać i ew. podążać za jego wskazaniami. Wiemy to z takiego przekazu, jaki stanowi napisany przez Porfiriusza (zm. ok. 305 r. n.e.) *Żywot Pitagorasa*. Tytułowy bohater przedstawiany jest nie tylko jako poważny uczyony, ale także jako taki pomysłowy wynalazca, który upamiętniał się „licznymi wynalezionymi przez niego sztukami i umiejętnościami”. Miał się on przy tym „oznaczać się taką czystością obyczajów i niechęcią do spożywania istot żywych, że nie zbliżał się w ogóle do kucharzy i myśliwych”<sup>1</sup>. Wszystko to przyczyniło się do wykreowania

\* Prof. dr hab. Zbigniew Drozdowicz (drozd@amu.edu.pl), Instytut Kulturoznawstwa, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza

<sup>1</sup> Por. Porfiriusz, *Żywot Pitagorasa*, Wydawnictwo Epsilon, Wrocław 1993, s. 3 i n.

Pitagorasa na pomnikową postać. Porfiriusz nie poprzestaje jednak na wskazaniu tych zdolności i umiejętności Pitagorasa i dodaje, że był on przeciwnikiem tyranów. „Gdy zaś wylądował w Italii udał się do Krotony (...), miasto Krotończyków tak było poruszone pojawieniem męża sławnego z wędrowek i niezwykłego, jak też pod względem natury znakomicie wyposażonego przez los (miał bowiem postać szlachetną i wspaniałą i wdzięk, jak też odznaczał się pięknym głosem i obyczajem), że gdy zjednął sobie dusze rady starców przemawiając długo i pięknie do młodzieży, na polecenie sprawujących władzę po raz drugi zwrócił się z naukami do ludzi młodych”, a nawet (!?) do kobiet („dla słuchania go powstało zgromadzenie kobiet”). Rzecz jasna, ważne jest nie tylko to, kogo nauczał i jak nauczał, ale także to, czego nauczał. W świetle tego przekazu najistotniejsze w jego nauczaniu były twierdzenia, że „dusza jest nieśmiertelna, następnie, że przechodzi ona w inne rodzaje istot żywych; ponadto, że po dokonaniu się określonego obiegu czasu to, co niegdyś zostało zrodzone, rodzi się na nowo, słowem nie istnieje nic nowego; dalej, że wszystkie istoty żywe należy uważać za pokrewne sobie”. Jeśli wierzyć temu przekazowi, to nauki te były odbierane nie tylko z podziwem (i to przez „ponad dwa tysiące słuchaczy”), a także z taką atencją, że „zaliczyli oni Pitagorasa w poczet bogów”<sup>2</sup>. Dzisiaj tego rodzaju pozycjonowanie spotkałoby się zapewne w środowisku akademickim z różnego rodzaju wątpliwościami, a być może nawet uznane zostałoby za potwierdzenie, że Pitagoras pod jednym względem należał do grona uczonych, ale pod innymi do pseudouczonych. Do takiego wniosku może zresztą również skłaniać jego wizerunek nakreślony przez Jamblicha, autora książki *O życiu Pitagorasa* (stanowi ona jedną z 10 ksiąg *Zbioru nauk pitagorejskich*)<sup>3</sup>.

Pojawienie się chrześcijaństwa oznaczało głęboką zmianę nie tylko w wierzeniach i praktykach religijnych, ale także w pojmowaniu nauki oraz w sposobach pozycjonowania uczonych. Zakwestionowana bowiem została nie tylko uczoność niejednego z tzw. pogańskich uczonych, ale także opowiedziano się za taką uczonością, która nie może się obejść bez chrześcijańskiej wiary. Rzecz jasna, standardy tej wiary i związanej z nią uczoności określali chrześcijańscy teolodzy – zarówno ci, którzy nazywani są Ojcami Kościoła (jednym z najbardziej znaczących był Aureliusz Augustyn (św. 354–430), jak i ci, którzy spotykali się na soborach, a w okresach międzysoborowych sprawujący w Kościele zwierzchnią władzę papież. Korzystali oni przy tym z intelektualnego wsparcia tych teologów, którzy byli biegli w Piśmie świętym oraz w znajomości chrześcijańskiej tradycji, a do egzekwowania uprawiali liczne grono duchownych niższych szczebli.

<sup>2</sup> „Dlatego wszyscy spośród nich – ilekroć zamierzali przekazać komuś coś z niewypowiedzianych tajemnic Jego nauk (...) przysięgali, przywołując na świadka Pitagorasa jako boga” (tamże, s. 10).

<sup>3</sup> Por. Jamblich, *O życiu pitagorejskim*, tamże, s. 27 i n. Rozprawa ta stanowi jedną z 10 ksiąg *Zbioru nauk pitagorejskich* (zachowały się tylko 4 z nich).

Po powstaniu pierwszych uniwersytetów do grona wykładających magisterium chrześcijańskiej wiary dołączyli ci, których najpierw nazywano *magistrami* (ten łaciński termin oznaczał wówczas *mistrza*) lub profesorami (ten termin oznaczał na początku każdego nauczyciela, a nieco później nauczyciela sztuki wymowy). W miarę umacniania się społecznej pozycji uniwersytetów, oraz ich przybywania, pojawiały się na nich takie struktury organizacyjne (nazywane *ustrojami uczelni*), które wiązały się nie tylko z problematyką prowadzonych badań i wykładów, ale także z akademicką hierarchizacją. W ustroju sorbońskim najniżej w tej hierarchii stał wydział *artes liberales* (sztuk wyzwolonych), na którym nauczano nie tylko gramatyki, retoryki, dialektyki, ale także *quadrivium*, obejmującego arytmetykę, geometrię, muzykę i astronomię. Natomiast najwyżej stał wydział teologii, na którym nie tylko nauczano o Bogu, ale także o tym, jak człowiek może i powinien się do Niego zbliżyć, oraz w jaki sposób skutecznie prowadzić batalie z ludźmi małej wiary i z różnego rodzaju innowiercami.

Pochodną tego podziału było pozycjonowanie uniwersyteckich mistrzów i nauczycieli. Nie w każdym jednak przypadku przekładało się to na pełnienie przez nich funkcji rektorskich. W ustroju sorbońskim rektorzy stali na czele wydziałów, a najwyższą pozycję zajmował rektor *artes liberales*. Kierowano się bowiem zasadą, że przypada ona temu z nich, na którego wydziale studiuje największa liczba studentów. Natomiast w ustroju bolońskim taka rola przypadała studentowi wydziału, na którym studiowało najwięcej osób. Takie ustalanie zwierzchności niejednokrotnie rozmijało się z pozycjonowaniem uczonych pod względem posiadanych przez nich zawodowych kwalifikacji i uzyskiwanych wyników w badaniach naukowych. Prowadziło to czasami do takich kompetencyjnych sporów, które przyciągały uwagę różnych uczonych z różnych ośrodków akademickich, a niektóre z nich stały się wręcz legendarne.

Należy do nich m.in. głośny spór Piotra Abelarda (1079–1142) z mistrzami paryskiego uniwersytetu o tzw. uniwersalia (Marenbon 1997). Jacques Le Goff, przedstawiając tego uczonego w *Inteligencji w wiekach średnich*, napisał, że był on „chlubą ośrodka paryskiego”, „pierwszym wielkim intelektualistą nowoczesnym – w granicach nowoczesności wieku XII – pierwszym profesorem” (Le Goff 1997, s. 49 i n.). Tego samego nie może (lub nie chce) powiedzieć o jego oponentach – takich m.in. jak „najsłynniejszy z mistrzów paryskich, Wilhelm z Champeaux, czy jeszcze słynniejszy (bowiem później został zaliczony do grona świętych) Bernard z Clairvaux. Tego ostatniego Le Goff przedstawia jako intryganta i mściwego człowieka, mającego na swoim koncie taki „sukces”, jakim było doprowadzenie do uznania w 1141 r. Abelarda na soborze w Soissons za heretyka. Wprawdzie ten ostatni odwołał się do pap. Innocentego II, ale ten dał wiarę temu, co Bernard z Clairvaux napisał o Abelardzie w adresowanym do niego liście; a napisał w nim m.in. że „mamy tutaj we Francji nowego teologa, co się nim stał z wieloletniego mistrza filozofii. Od wczesnej młodości wydziwiał cuda w dialektyce, obecnie

dopuszcza się szaleństw w tłumaczeniu pism świętych. W omszałej przeszłości potępione i zapleśniałe dogmaty wskrzesza na nowo do życia, a nadto wymyśla własne kacerstwa. (...) W chmurach nosi swą głowę, nieodgadnione rzeczy chce myślą przeniknąć, zstępując zaś do nas, duby smalone prawi, o jakich nie godzi się śmiertelnym nawet i mówić” (Abelard 1952, s. 161 i n.). Natomiast w liście do „magistra Iwona, kardynała kurii rzymskiej”, dodawał, że „magister Piotr Abelard jest mnichem wyzutym z czci i wiary, opatem bez żadnej pieczy nad poddanymi; reguł nie strzeże, z klasztorem nic go nie wiąże. (...) nic nie ma w nim z mnicha, z wyjątkiem imienia i stroju” (tamże, s. 166). Można się zgodzić przynajmniej z tym, że daleko było Abelardowi do mniszej ascetyczności (z jego związku z Heloizą narodził się syn), a nawet do takiej chrześcijańskiej pokory, która wiązałaby się z przyjęciem na kolanach soborowego potępienia. Potwierdzeniem tego są te jego listy do przyjaciół, w których swoich największych oponentów przedstawiał jako niemal całkowite beztalencja (o Wilhelmie z Champeaux napisał, że „miał zadziwiający dar słowa, ale to, co mówił, pozbawione było znaczenia i treści”), a co pomniejszych nazywał obłudnymi świętoszkami, nikczemnikami, rozpustnikami, półgłówkami, a nawet bandytami. Tak czy inaczej ani to pierwsze, ani też to drugie pozycjonowanie nie może uchodzić za wzór do naśladowania w nauce.

W następnych stuleciach sporo się zmieniło zarówno w różnych naukach, jak i w sposobach określenia pozycji uczonych. Nie można jednak powiedzieć, że zmieniało się na dużo lepsze, przynajmniej w tym okresie, który przeszedł do historii pod nazwą epoki Odrodzenia. Jednym z jej znaczących przedstawicieli był teolog i filozof Erazm z Rotterdamu (1469–1536). Dzisiaj jest on patronem swojej macierzystej uczelni, tj. Katolickiego Uniwersytetu w Louvain. Natomiast w okresie swojego akademickiego funkcjonowania był on wykładowcą m.in. na uniwersytetach w Oksfordzie, w Bazylei i w Brabancji. To, z czym tam się spotkał, opisał nie tylko w swoim najgłośniejszym dziele, tj. w *Pochwale głupoty*, ale także (bardziej dosadnie) w listach do przyjaciół. W napisanym w maju 1515 r. *Liście do Marcina Dorpa* pisał m.in., że ówcześni uczeni i nauczyciele akademicy to osoby „o tak niewydarzonych zdolnościach i rozumie, że nie nadają się do żadnych zajęć umysłowych (...); wyśmiewają księgi greckie, hebrajskie, a nawet łacińskie, a będąc głupszy od niejednego wieprza i nie mając nawet zdrowego rozsądku uważają, że siedzą na stolicy wszelkiej mądrości. Wszystko sądzą, potępiają, wydają wyroki, o niczym nie wątpią (...)” (Erazm z Rotterdamu 1953, s. 197). Ta generalizująca ocena rozpisana jest na poszczególne role w *Pochwale głupoty* (rzecz jasna, tytuł tego dzieła jest przewrotny). Mamy w niej bowiem długą i zróżnicowaną galerię tych, którzy zajmują się wprawdzie akademickim nauczaniem, ale to, czego nauczają, to – w przypadku „mistrzów” sztuki poetyki „czyste bzdury i śmieszne bajeczki”, w przypadku „mistrzów” sztuki epistolarnej „kadzenie” sobie i innym głupcom „pustymi słowami”, a w przypadku „mistrzów” filozofii imponowanie otoczeniu „długami brodami

i płaszczami”, ale nie swoją rozumnością. W podsumowaniu tego pozycjonowania akademickich nauczycieli Erazm z Rotterdamu stwierdza, że „fortuna kocha tych, co niezbyt mądrzy, tych co mają więcej zuchwałstwa niż rozumu” (tamże, s. 140).

Interesującym przyczynkiem do dyskusji o odrodzeniowej rozumności i związanej z nią naukowości może być głośna sprawa postawienia Galileusza (wł. Galileo Galilei, 1564–1642) przed inkwizycyjnym sądem i wymuszenie na nim deklaracji, że porzuci kopernikańską teorię, iż „Słońce jest środkiem świata i nie porusza się, natomiast Ziemia się porusza; w przyszłości nie będzie jej ani głosił, ani nauczał czy bronił w jakikolwiek sposób” (Crombie 1960, s. 262). Historyk nauki, za którym przywołuję ten fragment orzeczenia kościelnego trybunału, pisze, że „Sobór Trydencki zabraniał interpretacji Pisma św. w sposób niezgodny z powszechną opinią świętych Ojców”. Natomiast odpowiadając na pytanie: dlaczego opublikowane w 1543 roku w Norymberdze dzieło Mikołaja Kopernika o *Obrotach sfer niebieskich* nie spotkało się z tak nerwową reakcją ówczesnych strażników zgodności nauki z kościelną doktryną, stwierdza, że „system kopernikański miał być uważany jedynie za hipotezę matematyczną, ułatwiająca obliczenia; w ten sposób go traktując korzystano z niego przy opracowaniu kalendarza gregoriańskiego w roku 1582”. „Charakterystyczną cechą filozofii nauki Galileusza, dominującej w jego sporze o teorię kopernikańską, było szczególne przeświadczenie, że jego nowa nauka matematyczna stanowi metodę czytania rzeczywistej księgi przyrody” (tamże, s. 254 i n.). Nie uzyskał na to zgody nie tylko kościelnego trybunału, ale także takich kościelnych autorytetów naukowych jak kardynał Robert Bellarmin, który „w młodości studiował astronomię i podjął niezaszczytne zadanie uzasadnienia decyzji” tego trybunału. W konkluzjach do opisu „sprawy Galileusza” przywoływany tutaj historyk nauki przypomina, że po zakończeniu procesu wydany w nim wyrok uczony ten nazwał w prywatnej korespondencji „triumfem ignorancji, bezbożności, oszukaństwa i podstępów”. Natomiast polski teolog, fizyk i astronom ks. prof. Michał Heller zalicza Galileusza do grona tych wielkich uczonych, którzy w XVII w. dokonali „klasycznej rewolucji” (na tej liście umieścił także Keplera, Newtona, Huygensa, Hookea i Boyle’a). Dodaje on przy tym, że „byli oni ludźmi głęboko religijnymi i dzięki ich teologicznym komentarzom do prowadzonych przez siebie naukowych dociekań nastąpiło niezwykle zbliżenie teologii i nauk przyrodniczych (zwane przez historyków fizykoteologią), ale zjawisko to trwało krótko i ustąpiło miejsca interpretacjom nieprzychylnym religii” (Heller 2014, s. 53 i n.). Rzecz jasna, można polemizować z takim pozycjonowaniem wymienionych tutaj uczonych. Poza dyskusją zdaje się jednak być to, że proces Galileusza stanowił poważny sygnał, że drogi nauk świeckich i teologicznych zaczynają się coraz wyraźniej rozchodzić.

Obiema drogami próbował jeszcze podążać Izaak Newton (1643–1727). Jerzy Kierul, kreśląc jego intelektualny wizerunek, pisze, że „Newton przez całe życie był bardzo

angielski w swoich zwyczajach, upodobaniach i przesądach”. Dodaje przy tym, że „charakterystyczną cechą tradycji angielskiej było połączenie religijności z empiryzmem” (Kierul 1996, s. 42 i n.). Nieco dalej przywołuje on tych platoników z Cambridge (macierzystej uczelni Newtona), którzy „swą filozofię wywodzili z osobistego doświadczenia mistycznego” i byli przekonani, że „droga do wiedzy prowadzi nie przez czytanie autorów, lecz przez wewnętrzne oczyszczenie”. W rozdziale zatytułowanym: „Apostaci i prorocy” kreśli on obraz drogi Newtona do jego religijnej wiary. Krótko rzecz ujmując: uczony ten nie tylko samodzielnie analizował Pismo św., ale także „znał praktycznie wszystkie dzieła takich teologów, jak Anastazy, Augustyn czy Orygenes, znał również i cytował ponad dwudziestu innych Ojców Kościoła, korzystał też z prac współczesnych mu teologów. Rezultatem tej olbrzymiej pracy było przeświadczenie o słuszności poglądów Ariusza, aleksandryjskiego herezjarchy z początku IV w. Ariusz uważał, że jedynie Bóg-Ojciec jest niezrodzony (...) istniejący sam z siebie” (tamże, s. 133). Poglądy głoszone przez Ariusza skłoniły ces. Konstantyna do zwołania w 325 r. I soboru nicejskiego, na którym zostały one uznane za niezgodne z nauką chrześcijańską (Williams 2001). Pozycja Newtona w gronie tzw. antytrynitarzy o tyle może wyglądać osobliwie, że najpierw studiował on w Kollegium Świętej Trójcy Uniwersytetu Cambridge, a później był na nim wykładowcą.

Takie pozycjonowanie uczonych, w którym bierze się pod uwagę nie tylko ich najbardziej znaczące osiągnięcia naukowe, ale także ich instytucjonalne i społeczne uwarunkowania oraz osobiste przekonania i wierzenia, spotyka się niejednokrotnie z lekceważeniem ze strony tych, którzy uważają, że w nauce liczą się wyłącznie lub przede wszystkim jedynie te pierwsze, a te drugie można uznać co najwyżej za ciekawostkę. Z takim podejściem mamy do czynienia m.in. w książce Alberta Einsteina i Leopolda Infelda pt. *Ewolucja fizyki*. Już to, że z punktu widzenia tych wybitnych uczonych fizyka jako dyscyplina naukowa narodziła się w najlepszym przypadku w czasach Odrodzenia, ma swoją głęboką wymowę. Wprawdzie w jej wstępnej części formułują oni generalizujące twierdzenie, że „uczony czytając księgę natury – jeśli wolno powtórzyć ten banalny zwrot – musi znaleźć rozwiązanie sam”, to kilka wierszy dalej pojawia się wskazanie na Galileusza i Newtona jako na tych uczonych, którzy w największym stopniu spełniali ten warunek (Einstein, Infeld 1959, s. 15 i n.). W przypadku pierwszego z nich wyrażało się to „w odkryciu i zastosowaniu metody naukowego rozumowania”. Natomiast w przypadku drugiego w takim jej stosowaniu, który umożliwił naukowe wyjaśnienie zjawiska ruchu, w tym zmiany prędkości; „związek pomiędzy siłą i zmianą prędkości (...) jest podstawą sformułowanej przez Newtona mechaniki klasycznej”. Wprawdzie w późniejszym okresie pojawili się tacy uczeni, którzy wprowadzili do tej mechaniki niejedną korektę, jednak nie byli to ani platonicy z Cambridge, ani też uczeni z innych znaczących uczelni. „Dziwnym zbiegiem okoliczności wszystkie niemal podsta-

wowe prace dotyczące istoty ciepła zawdzięczamy fizykom-amatorom, dla których fizyka była tylko ulubioną rozrywką. Należał do nich obrotny Szkot Black, lekarz niemiecki Mayer, wielki amerykański poszukiwacz przygód hrabia Rumfortd, który mieszkał później w Europie i wśród innych zajęć pełnił również funkcję bawarskiego ministra wojny, a także angielski piwowar Joule, który w wolnym czasie wykonał pewne niezwykle doświadczenia dotyczące zachowania energii” (tamże, s. 63).

Warto przypomnieć, że również takie znaczące osiągnięcie XIX-wiecznej nauki, jaką było sformułowanie teorii ewolucji gatunków drogą doboru naturalnego, było również udziałem biologa-amatora. Karol Darwin miał wprawdzie akademickie wykształcenie (studiował najpierw medycynę na Uniwersytecie w Edynburgu, a później teologię na Uniwersytecie w Cambridge), jednak jego przełomowe obserwacje związane są z odbytą w latach 1832–1836 podróżą na statku *Beagle*; miał na nim status przyrodnika-amatora (White, Gribbin 1998, s. 63 i n.). Również A. Einstein swoje pierwsze znaczące osiągnięcie naukowe, tj. szczególną teorię względności, sformułował w okresie, w którym nie był zawodowo związany z żadną instytucją naukową. Jego publikacje na ten temat ukazały się w 1905 roku i „nie tylko nie zyskały natychmiastowego uznania, ale przeszły z początku właściwie bez większego oddźwięku w społeczności naukowej” (Highfield, Carter 1995, s. 63 i n.). Zapewne pewien wpływ na to miał fakt, że był on wówczas urzędnikiem w Urzędzie Patentowym w Bernie. „Na początku 1907 roku opisywał siebie jako «szacownego pierdzistołka na państwowej posiadzie», który stara się uprawiać swoje naukowe hobby i grywać na skrzypcach w «wąskim zakresie» pozostawionym mu przez dwuletniego syna” (tamże, s. 154). To einsteinowskie pozycjonowanie uczonego może być uznane za obraźliwe. Nie znaczy to jednak, że nie może ono być trafne w przypadku tych członków akademickiej społeczności, którzy samo zatrudnienie na uczelni traktują jako równoznaczne z poważnym zajmowaniem się nauką lub przynajmniej jako wystarczający powód do satysfakcji.

### Współczesne sposoby pozycjonowania

Wprawdzie dzisiejsze życie akademickie pod niejednym względem istotnie różni się od tego, które miało miejsce jeszcze w czasach, w których Einstein rozpoczął swoją drogę do naukowej wielkości, to jednak przynajmniej niektóre z dawnych sposobów pozycjonowania przetrwały – tyle tylko że przystosowane zostały do współczesnych realiów. Należy do nich m.in. pozycjonowanie poprzez „dziedziczenie” naukowej wielkości. Może ono wyrażać się w różnej formie. Jedną z cieszących się sporym uznaniem w środowisku akademickim jest pozycjonowanie przez „dziedziczenie” wielkości po uczelni, która stanowi miejsce zatrudnienia. Problem polega nie tylko na tym, że dzisiaj na świecie uczelni wyższych jest bardzo wiele, a te, które mają stosunkowo długą tradycję stanowią wśród nich znikomą mniejszość, ale także na tym, że nie wszystko to, co należy

do historycznych tradycji najstarszych uczelni, zasługuje na uznanie, a przynajmniej na szerokie upowszechnianie. Przykładem może być Oksford. Ta najstarsza angielska uczelnia jeszcze w czasach panowania Elżbiety I (przypadają one na drugą połowę XVI w.) przeżywał okres swojej świetności. Źle się na niej zaczęło dziać już w XVII stuleciu – o czym świadczy m.in. świadectwo wystawione przez filozofa Thomasa Hobbesa jego akademickim nauczycielom (w jego świetle byli to „pijacy i karciarze”). W głębokim upadku zarówno ta uczelnia, jak i konkurujący z nią Uniwersytet Cambridge znalazły się jednak dopiero w XVIII stuleciu – George Macaulay w *Historii społecznej Anglii* przywołuje opinię jednego z ówczesnych studentów Oksfordu Edwarda Gibbona (późniejszego wybitnego historyka), który o swoich akademickich nauczycielach napisał, że „w sumieniu swym rozgrzeszali się od trudu czytania, myślenia i pisania. Rozmowa ich grzęzła w kręgu spraw kolegialnych, polityki torysów, spraw osobistych i prywatnych plotek; ich nudne pijatyki na umór usprawiedliwiały krewką niewstrzeźliwość młodzieży” (Trevelyan 1961, s. 355 i n.). W dalszej części tej książki jej autor pisze, że w drugiej połowie XIX stulecia „uniwersytecka partia «liberalna», bardzo poważna i ogromnie wybitna pod względem intelektualnym, toczyła walkę o wyzwolenie Oksfordu i Cambridge z więzów monopolu kościelnego, w czym odniosła zwycięstwo stwierdzone przez ustawę o zniesieniu deklaracji wyznaniowej (1871). Młodsze uniwersytety, londyński i manchesterski, od dawna cieszyły się taką wolnością, otrzymawszy ją w momencie założenia tych uczelni” (tamże, s. 538 i n.).

Co z tego wynika dla dzisiejszego pozycjonowania przez „dziedziczenie”? Raczej nie to, że te dwa stare uniwersytety angielskie stały się „wizytówką” wojującego akademickiego ateizmu. Wprawdzie tacy ateści się na nich pojawiali i pojawiają, a nawet niektórzy z nich zyskali światowy rozgłos (przykładem może być biolog ewolucyjny z Uniwersytetu Cambridge Richard Dawkins), to jednak nie są oni jedynymi kreatorami światopoglądowego, naukowego i obyczajowego wizerunku tych uczelni. Już samo zachowanie tradycyjnych nazw najstarszych kolegiów Oksfordu i Cambridge świadczy o tym, że mocne pozycje zachowali na nich tradycjoniści. Jednak nie tylko to świadczy o ich pozycji. Kulturowane są bowiem na nich również takie, które Andrzej Walicki (przebywający w roku 1960 i l. 1966–1967 w Oksfordzie) nazywa „uroczo anachronicznym światem”. Należy do nich m.in. „jeden wieczór w roku, kiedy należy się «wstawić»” (Walicki 2014, s. 18 i n.). O „wstawianiu się” studentów wprawdzie on nie wspomina, jednak może to wynikać nie tyle z wyjątkowej jak na studenckie obyczaje ich wstrzeźliwości, co z „separacji w jadalni” („studenci przy «niższym stole», ciało naukowe na stole na podwyższeniu”). Dla jasności trzeba również powiedzieć, że oba najstarsze uniwersytety angielskie według różnych rankingów należą do światowej czołówki. Według funkcjonującego od 2003 roku Światowego Akademickiego Rankingu Uniwersytetów (Academic Ranking of World Universities), nazywanego potocznie listą szang-



hajską, sytuują się one w pierwszej dziesiątce takich uczelni. W samej Wielkiej Brytanii w 2001 roku było jednak 182 uczelni wyższych, w tym w Anglii 143. Ponadto istnieją tam liczne kolegia (w wymienionym tutaj roku było ich 505), należące również do brytyjskiego systemu szkolnictwa wyższego (Mosakowski 2002, s. 224 i n.). Wiele z nich za swoje podstawowe zadanie uznaje nie prowadzenie badań naukowych, lecz kształcenie młodzieży. Również na tych uczelniach, na których zadania badawcze łączone są z zadaniami edukacyjnymi, poziom jednych i drugich jest zróżnicowany.

Nie inaczej jest w takim imponującym zarówno pod względem osiągnięć badawczych, jak i edukacyjnych kraju, jakimi są Stany Zjednoczone. Dzisiaj stanowią one pod niejednym względem wzór do naśladowania przez kraje europejskie (i są one przez nie naśladowane pod niejednym względem). Trzeba jednak powiedzieć, że w USA funkcjonuje dzisiaj ok. 4 tys. różnego typu uczelni. Takich, na których wysoki poziom badań naukowych łączony jest z wysokim poziomem kształcenia, jest stosunkowo niewiele. Najlepsze z nich – takie jak Harvard University, Princeton University czy Yale University – od lat okupują czołowe pozycje na liście szanghajskiej. Rzecz jasna, liczą się nie tylko te, które „załapały się” do pierwszej dziesiątki na tej liście, a nawet nie tylko tych kilkanaście, które należą do tzw. ligi bluszczowej. Jednak nawet, gdy się weźmie pod uwagę pierwszą setkę listy szanghajskiej, to kilkadziesiąt miejsc zajmują na niej uczelnie amerykańskie. Nie mogłyby ich zajmować, gdyby nie tylko nie prowadzono na nich badań naukowych na wysokim poziomie, ale także na takim poziomie nie kształcono na nich studentów. Lista ta bowiem oparta jest m.in. na takim wskaźniku, jakim jest otrzymanie przez absolwentów tych uczelni i ich pracowników takich prestiżowych wyróżnień, jak Nagrody Nobla czy Medale Fields. Co więcej, ustalane są one przez taką niezależną od uczelni organizację, jaką jest ShanghaiRanking Consultancy (stąd jej potoczna nazwa).

Jak przy tym sposobie pozycjonowania wypadają polskie uczelnie? Powiedzenie, że nader skromnie w jakiejś mierze oddaje ich pozycje, ale z całą pewnością nie daje satysfakcji tym znaczącym uczonym, którzy chcieliby i potrafili osiągnąć dużo więcej niż osiągnęły ich uczelnie w tym i podobnych do niego rankingach. Nie tylko bowiem żadnej z nich nie ma w pierwszej setce listy szanghajskiej (dla przykładu Niemcy mają w niej 4 uczelnie), ale także zaledwie 2 z nich pojawiają się w jej rozszerzeniu do 1000 (np. Wielka Brytania ma w nim 65 uczelni, a Chiny aż 180). Można to podsumować krótko: przy takiej stosunkowo trudnej przeszłości i ubogiej teraźniejszości raczej trudno jest napełnić ten akademicki „kielich” w taki sposób, aby nie był on „kielichem goryczy”. Wprawdzie Uniwersytet Jagielloński, sytuujący się stosunkowo najwyżej na liście szanghajskiej, posiada tradycje sięgające XIV stulecia, a w XVI prezentował się całkiem przyzwoicie zarówno pod względem prowadzonych badań, jak i kształcenia studentów (jednym z jego absolwentów był Mikołaj Kopernik), to jednak w XVIII stuleciu znalazł

się w takim samym upadku jak angielskie uczelnie. Jego ówczesny absolwent Hugo Kołłątaj w swoim *Raporcie z wizytacji Akademii Krakowskiej w r. 1777* nazwał go „szacownym mamutem”, a za ten upadek obwinił szarogęszących się w jego murach przez dwa stulecia jezuitów (Kołłątaj 1953, s. 155 i n.). W okresie, w którym uczelnie wyższe w krajach zachodnich przechodziły „przyspieszony kurs” modernizacji i laicyzacji, UJ takiej szansy nie otrzymał, bowiem znajdował się pod władaniem austriackich i polskich konserwatystów.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości pojawiła się wprawdzie taka szansa, ale z różnych względów nie została ona wykorzystana w takim stopniu, aby uczelnia ta dołączyła do europejskiej czołówki. Natomiast po 1945 roku została ona odebrana nie tylko tej uczelni, ale także wszystkim pozostałym znajdującym się pod władzą „jedynie słusznej partii” (PZPR) i tego systemu, w którym uczonych i naukę poddano presji ideologicznej i nadzorowi tych, którzy cieszyli się zaufaniem władz partyjnych (Hubner 2021, s. 74 i n.). Po przełomie 1989 roku sporo zmieniało się zarówno na szczytach politycznej władzy, jak i w samym życiu akademickim, a przynajmniej podejmowane były próby takich reform tego życia, aby tak radykalnie nie odbiegało ono od zachodnich standardów. Jednak dotychczas, nie przyniosły one takich efektów, aby na liście szanghajskiej pojawiło się więcej polskich uczelni. Można oczywiście sporządzać własne listy; i się je sporządza, żeby tylko tytułem przykładu wymienić ranking tygodnika „Perspektywy”. Jakby jednak nie oceniać ich wiarygodności, to pozostają one jednak listami pocieszenia dla tych uczonych, których uczelnie zajmują w nich wysokie pozycje, i ewentualnie zmartwienia dla tych, którzy są przekonani o tym, że mają dużo bardziej znaczące osiągnięcia niż zajmujące odległe miejsca na tych listach ich uczelnie. Jakimś pocieszeniem może być również to, że nawet na najbardziej prestiżowych uczelniach nie zatrudnia się samych laureatów Nagrody Nobla i również tam ma zastosowanie zasada Pareto; w jej świetle jedynie 20% danej grupy zawodowej można zaliczyć do elity, natomiast 80% to średniacy i osoby sytuujące się pod względem swoich kwalifikacji zawodowych i uzyskiwanych efektów poniżej średniej. Skłonny jestem jednak zaryzykować twierdzenie, że te 20% w wydaniu polskich uczonych, to jednak nie to samo 20% w wydaniu tych uczonych, którzy w największym stopniu przyczyniają się do wysokiej pozycji ich uczelni.

Sporym uznaniem w środowisku akademickim cieszy się również pozycjonowanie uczonych przez tytułowanie. Ma ono również długą tradycję. W swojej historii przeszło jednak tak głębokie zmiany, że dawne stopnie i tytuły naukowe mało kiedy oznaczają to samo, co oznaczały w okresie średniowiecza, a nawet jeszcze kilka stuleci później. Przykładem może być nie tylko tytuł zawodowy magistra (raczej mało kto będzie go dzisiaj łączył z osiągnięciem naukowego mistrzostwa), ale także stopień doktora. Ten ostatni ma również łacińskojęzyczny rodowód (wywodzi się z terminu *doctoratus*,

oznaczającego *nauczanie*) i przed powstaniem pierwszych uniwersytetów używany był w odniesieniu do autorytetów chrześcijańskich, a po ich pojawieniu także do akademickich wykładowców. Na początku jego nadawanie znajdowało się wyłącznie w gestii Kościoła, a nieco później również uczelni (pierwszy taki doktorat nadany został przez Uniwersytet Paryski w 1150 r.). Jednak już wówczas miały one różną rangę (Noble 1994). Przez wiele stuleci nie były one jednak „rozdawane” tzw. lekką ręką, tj. bez spełnienia stosunkowo wysokich wymagań zarówno w zakresie osiągnięć naukowych, jak i obyczajowych. W efekcie jeszcze w pierwszych dziesięcioleciach XX stulecia liczba osób posiadających ten stopień była stosunkowo niewielka.

Dzisiaj takich osób w różnych krajach nie tylko jest wiele, ale także wiele jest typów tego stopnia. W Wielkiej Brytanii ten stopień naukowy występuje pod jedną nazwą – *Doctor of Philosophy* (Ph.D.) – dla różnych dyscyplin naukowych. Jednak tej tradycji trzymają się głównie tzw. stare uniwersytety. Natomiast nowe zwykle do terminu *doctor* dodają nazwy różnych dyscyplin. Ponadto odróżnia się tam ten stopień naukowy od stopni zawodowych, dodając do niego takie określenia jak np. *Doctor of Engineering*, *Doctor of Business* czy *Doctor of Administration* (Mosakowski 2002, s. 227 i n.). Podobnie jest w Stanach Zjednoczonych. Występuje tam jednak również kilkanaście rodzajów doktoratów zawodowych oraz ich odpowiedników (Structure of the U.S. Education System 2012). We francuskim systemie stopni naukowych do reformy z 1984 roku odróżniano zarówno doktoraty naukowe i zawodowe, jak i doktoraty nadawane w naukach humanistycznych oraz doktoraty nadawane w naukach ścisłych. Obecnie występuje tam jeden rodzaj doktoratu, a wymagania obowiązujące przy jego nadawaniu i procedura nadawania określone są w ustawie. Stosunkowo mocno zróżnicowane są stopnie doktorskie w Niemczech. Odróżniane są tam bowiem nie tylko doktoraty nadawane w naukach przyrodniczych i humanistycznych, ale także w naukach społecznych (takich m.in. jak prawo, ekonomia czy politologia), oraz teologicznych, medycznych, weterynaryjnych, a także inżynierskich (Kramer 2015). W Polsce przez dłuższy czas występował tylko jeden rodzaj doktoratu. W 2017 roku został wprowadzony doktorat zawodowy. Na temat tego ostatniego wypowiadałem się przy innej okazji (Drozdowicz 2017, s. 30 i n.). Tutaj jedynie powtórzę, że w naszym kraju poważnym problemem jest nie tyle zróżnicowanie doktoratów, co jego nadawanie tak wielu osobom (w skali roku jest ich ponad 5 tys.), że teoretycznie wyglądamy na światową potęgę w liczbie doktorów, natomiast praktycznie wielu naszym doktorom sporo jeszcze brakuje do posiadania tych zawodowych kwalifikacji, które posiadają doktorzy w przodujących naukowo krajach zachodnich.

Dobrem szczególnie pożądanym w środowisku akademickim nie jest jednak stopień doktora, lecz tytuł profesora. Również on przeszedł dosyć głębokie zmiany w swoim akademickim funkcjonowaniu – począwszy od stawiania znaku równości między nim i prak-

tycznie każdym takim nauczycielem akademickim, który posiadał uprawnienia do wykładania na konkretnej uczelni, do traktowania go jako najwyższego wyróżnienia w akademickiej hierarchii. Co więcej, tytuł ten zrobił taką karierę w odbiorze społecznym, że dzisiaj jest traktowany jako synonim mądrości, a w kulturze popularnej pojawili się tacy „profesorowie”, którzy wymyślali i skonstruowali rzeczy przekraczające możliwości zwykłego śmiertelnika (a czasami również próg śmieszności). W życiu akademickim tacy profesorowie wprawdzie się również pojawiali i pojawiają, jednak stosunkowo rzadko. Nie tego zresztą się oczekuje od osób ubiegających się o ten naukowy tytuł. W różnych krajach oczekiwania te są różne, a co za tym idzie, różne są również kategorie tych profesorów. W Stanach Zjednoczonych do tytułów przywiązuje się mniejszą wagę niż do konkretnych osiągnięć naukowych. Natomiast dobrem szczególnie pożądanym jest uzyskanie *academic tenure*, oznaczającego nie tylko nabycie uprawnienia do samodzielnego prowadzenia badań naukowych, ale także takiego kształcenia studentów, które jest zgodne z posiadaną wiedzą oraz przekonaniem akademickiego wykładowcy. Co więcej, daje ono uprawnienie do uzyskania stałego zatrudnienia na uczelni i możliwości jego zachowania również wówczas, gdy się już osiągnęło wiek emerytalny. Wszystko to zapisane zostało w przyjętym w 1940 roku i zatwierdzonym przez ponad 200 uczelni i innego typu instytucji naukowych dokumencie prawnym nazywanym *Deklaracją akademickich wolności* (Skoble 2019, s. 207 i n.). W tym kraju określenie *profesor* w swobodnym stosowaniu oznacza różne kategorie pracowników naukowych i dydaktycznych, również tych, którzy posiadają jedynie stopień doktora. Niejednokrotnie występuje ono jednak z jakimś dookreśleniem (np. takim jak *asystent profesor*).

W krajach europejskich występuje zarówno zróżnicowanie profesorów na akademickich i nieakademickich (np. we Francji profesorami są również nauczyciele szkół średnich), jak i różnicowanie tych pierwszych na różne kategorie. Przykładowo: w Hiszpanii podstawowy podział kadry profesorskiej wyznacza uzyskania *tenure*. Ci, którzy uzyskali te uprawnienia, dzielą się na trzy kategorie profesorskie, tj. A, B i C – pierwsza z nich jest najwyższa, natomiast ostatnia (*profesor titular de escuela universitaria*) oznacza uprawnienie do nauczania jedynie na pierwszym cyklu uniwersyteckiego kształcenia (Mosakowski 2002, s. 117). Występuje tam również kategoria profesora asystenta oraz profesora gościnnego. We Francji istnieją również trzy kategorie profesorów uniwersyteckich. Każda z nich podzielona jest na kilka szczebli (*échelons*). Natomiast profesorowie szkół średnich podzieleni są na dwie kategorie, tj. *professeurs agrégés* i *professeurs certifiés* (mają oni różne obciążenia dydaktyczne). W istniejącej od 1939 roku takiej znaczącej publicznej instytucji badawczej, jaką jest Centre National de la Recherche Scientifique (dzisiaj zatrudnionych jest w CNRS ok. 26 000 osób, w tym ponad 11 000 uczonych) nie ma stanowisk profesorskich, a prowadzący badania naukowe zatrudniani są na stanowiskach dyrektorów badawczych (*directeur recherche*), które

podzielone są na dwie klasy i każda z nich ma wiele szczebli. W krajach niemieckich to zatrudnienie wprawdzie różnie wygląda na różnych uczelniach i innego typu instytucjach badawczych (sporo w tej kwestii mają do powiedzenia rządy krajowe), jednak regulacje ogólnoniemieckie stanowią o podziale stanowisk profesorskich na klasy C2, C3 i C4. Najwyższą z nich jest klasa C4. Występuje ona jedynie w niemieckich uniwersytetach i związana jest nie tylko z uprawnieniami do samodzielnego prowadzenia badań i kształcenia studentów, ale także kierowania zespołami badawczymi. Warunkiem uzyskania którejś z tych kategorii profesury jest posiadanie habilitacji. Po wprowadzonych w 2002 roku zmianach w ogólnoniemieckich regulacjach prawnych dotyczących nauki i szkolnictwa wyższego pojawiła się kategoria profesora juniora. Stanowisko to może wprawdzie zajmować osoba bez habilitacji, jednak tylko taka, która nie przekroczyła 35. roku życia (Tuora-Schwierskott 2015, s. 310 i n.). Taki profesor jest zatrudniany na umowę o pracę na czas określony, co praktycznie oznacza, że również zobowiązany jest do uzyskania stopnia doktora habilitowanego (o ile oczywiście chce pozostać pracownikiem badawczo-naukowym).

W Polsce w okresie międzywojennym w organizacji życia akademickiego korzystano z różnych wzorców. W przyjętej 15 marca 1933 roku *Ustawie o szkołach akademickich* widoczny jest wpływ tych rozwiązań w zakresie stanowisk uczelnianych, które występowały w krajach niemieckojęzycznych. W jej art. 28 do nauczycieli akademickich zalicza się wyłącznie profesorów honorowych, zwyczajnych, nadzwyczajnych, tytularnych i docentów. Po 1945 roku w znacznej mierze zachowano ten podział akademickich stanowisk, dodając jedynie (na czas przejściowy) stanowisko zastępcy profesora. Znałem jednego z takich „prawie profesorów”. Przed objęciem tego stanowiska na uczelni był on nauczycielem w szkole średniej i opowiadał mi (z rozbawieniem), że dorabiał do nauczycielskiej pensji poprzez sprzedawanie nocników. Natomiast swoje przygotowanie do wypełniania akademickich obowiązków zdobywał na kursach marksizmu-leninizmu organizowanych przez PZPR. Później jednak podszedł do tego na tyle poważnie, że uzyskał w standardowej procedurze tytuł profesora – wprawdzie tylko nadzwyczajnego, jednego mimo wszystko było ono bardziej prestiżowe niż zastępcy profesora czy docenta. To ostatnie stanowisko istniało na polskich uczelniach praktycznie do wejścia w życie *Ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce* z 20 lipca 2018 roku (mimo że w międzyczasie skompromitowane zostało przez tych „marcowych docentów”, którzy wprawdzie wyróżniali się zaangażowaniem ideowym, ale nie posiadanymi kwalifikacjami akademickimi).

W art. 112 ostatniej z tych regulacji prawnych dzieli się pracowników uczelni na akademickich i nieakademickich. W jej art. 114 stwierdza się, że „nauczycieli akademickich zatrudnia się w grupach pracowniczych: 1. dydaktycznych; 2. badawczych; 3. badawczo-dydaktycznych”. Natomiast w jej art. 116 wymienia się m.in. dwa stanowiska

profesorskie, tj. profesora i profesora uczelni, przy czym dodaje się, że na pierwszym z nich „może być zatrudniona osoba posiadająca tytuł profesora”, natomiast na drugim „osoba posiadająca co najmniej stopień doktora oraz znaczące osiągnięcia: a. dydaktyczne lub zawodowe”. b. „naukowe lub artystyczne”; c. „naukowe, artystyczne lub dydaktyczne”. Przywołuję te ustawowe zapisy, bowiem w tej regulacji prawnej jej autorzy i promotorzy pokładali nadzieje na taką poprawę kondycji polskiej nauki i kształcenia na poziomie wyższym, która oznaczałaby ich zbliżenie do światowych standardów. Jeśli miałbym krótko odpowiedzieć na pytanie: co z tego wyszło w praktyce?, to powiedziałbym, że na razie wychodzi jak zwykle, tj. jakoś nie widać jakościowego wzrostu poziomu prowadzonych badań naukowych i kształcenia studentów. Widoczny jest natomiast znaczący przyrost liczby profesorów uczelnianych. Związane jest to jednak nie z tym, że nagle pojawiła się duża liczba osób posiadających wysokie profesorskie kwalifikacje i znaczące dokonania badawcze, lecz z tym, że spora liczba doktorów w swoistym akcie desperacji rzuciła się do uzyskania habilitacji na tych warunkach, które obowiązywały przed wejściem w życie zapisów tej regulacji prawnej. Co więcej, wielu z nich udało się uzyskać ten akademicki stopień i na niejednej uczelni po prostu rozdano im stanowiska profesorów uczelnianych. Nie twierdzę, że nie ma w gronie tych nowych profesorów takich osób, które faktycznie posiadają profesorskie kwalifikacje. Nie zaryzykowałbym jednak twierdzenia, że stanowią oni zdecydowaną większość.

Stosunkowo młodej daty jest pozycjonowanie uczonych przez tzw. współczynnik wpływu. W środowisku akademickim występuje on pod nazwą Impact Factor (IF) i przez jednych uczonych traktowany był i w jakiejś mierze nadal jest jako w pełni wiarygodny wskaźnik pozycji naukowej, natomiast przez innych stawiany był i jest pod wielkim znakiem zapytania. Samo pozycjonowanie przez odwoływanie się do wpływów nie jest czymś nowym w nauce (w różnych wersjach pojawia się ono już od czasów starożytnych). Nowy jest natomiast sposób ustalania tych wpływów, a także przypisywanie mu mocy wyprowadzenia uczonych i uprawianych przez nich nauk z tego ogromnego zamieszania spowodowanego zróżnicowanymi sposobami instytucjonalnego i tytularnego ustalania ich pozycji; a nauka jest ponoć jedna (tak przynajmniej zdają się sądzić wyznawcy tej wiary). Krótko rzecz ujmując: tym sposobem jest oparte na ilościowych wskaźnikach bibliometrycznych przywoływanie ich publikacji przez innych uczonych. Jego częściami składowymi jest zarówno punktowana lista czasopism i wydawnictw publikujących monografie naukowe, jak i takie bazy publikacji, które w przekonaniu zwolenników tego sposobu pozycjonowania zasługują na pełne zaufanie. Ów IF w obiegu akademickim pojawił się w latach 70. minionego stulecia i szybko zrobił taką karierę, że przynajmniej w niektórych krajach (w tym w Polsce) stał się swoistą „wyrocznią” w sprawie naukowych pozycji uczonych. Nieco później przyszło pewne opamiętanie i towarzyszące mu wątpliwości co do jego faktycznej wiarygodności. Spowodowane zostało ono m.in. poja-

wieniem się zjawiska tzw. punktozy, traktowanej przez jednych jako swoista akademicka patologia, natomiast przez innych jako jedynie przejściowa „zadyszka” akademickiego środowiska.

Jeśli przyjąć sposób myślenia tych ostatnich, to wprawdzie punktoza istnieje, ale po zdiagnozowaniu „mechanizmów” jej powstawania można, a nawet należy ją odróżnić od impaktozy; „obie są do siebie bardzo podobne, obie odnoszą się bowiem do zjawiska dostosowywania przez naukowców swoich praktyk publikacyjnych do ilościowo wyrażanej normy dotyczącej jakości. (...) Jednak podstawową różnicą jest to, że w ramach impaktozy nie chodzi o «sumowanie impaktów» (...) z jakichkolwiek czasopism, lecz publikowanie tylko w tych najważniejszych” (Kulczycki 2017, s. 68 i n.). W konkluzjach do tego artykułu jego autor stwierdza, że „punktozy można uniknąć, a raczej ją ograniczyć, na dwa sposoby. (...) Pierwszym sposobem jest przejście na system ekspercki. (...) Drugim sposobem jest zmodyfikowanie obecnego systemu parametrycznego (...) tak, aby indeksowane na nim były tylko najlepsze czasopisma”. Dla jasności dodam, że jest on członkiem KEN, odpowiedzialnym za sporządzenie takiej listy czasopism, która spotkała się wprawdzie w naszym środowisku akademickim z uznaniem niektórych uczonych, ale wywołała zdziwienie, a nawet oburzenie u wielu innych, w tym tych, którzy wchodziłi w skład powołanych przez ministerstwo zespołów ekspertów; jednak ich opinia została tylko w niewielkim stopniu uwzględniona.

Należę do tych, którzy nie podzielają wiary w możliwości uwolnienia uczonych i nauki od tej środowiskowej choroby przez zastosowanie zaproponowanej wyżej „terapii”. Podzielam natomiast opinię wyrażaną m.in. przez Edwarda Towpika (profesora medycyny z UW), że „Impact Factor nie jest właściwym wskaźnikiem oceniania wyników badań naukowych, indywidualnych uczonych ani ośrodków badawczych” (Towpik 2015, s. 465 i n.). W jej uzasadnieniu stwierdza on m.in., że „niweczy on podstawowe zasady etyki cytowań”, bowiem „można starać się o nieproporcjonalnie wielką liczbę cytowań, stosując atrakcyjny niebanalny tytuł”, „manipulować składowymi wzoru obliczeń”, a także negocjować z wydawcami czasopism w celu uzyskania wysokiego Journal Impact (JIF); „jest tajemnicą poliszynela, że szereg pism (a może raczej wpływowych koncernów wydawniczych?) negocjuje z Thomson Scientific elementy składające się na wzór obliczeń JIF; w wyniku tego możliwa jest bardzo znacząca zmiana współczynnika” (tamże, s. 469). W konkluzjach E. Towpik stwierdza, że „sytuacja jest alarmująca, gdy młodzi naukowcy zapytani o swoje najważniejsze osiągnięcie naukowe odpowiadają, że opublikowali pracę w «wysoko punktowanym czasopiśmie»”.

Ze sformułowanymi w tym artykule wnioskami zgadza się Jerzy Brzeziński. W zamieszczonym na łamach „Nowotwory Journal of Oncology” głosie w dyskusji nad IF zwraca on uwagę na to, że „poważne światowe instytucje i stowarzyszenia naukowe, przedstawiciele różnych dziedzin nauki (nie tylko humanistyki) opowiadają się prze-

ciwko mechanicznemu, żeby nie powiedzieć: bezrozumnemu stosowaniu wskaźników bibliometrycznych (z IF i sum IF na czele) do oceny osiągnięć zwłaszcza indywidualnych badaczy oraz jednostek naukowych (...)" (Brzeziński 2015, s. 477 i n.). Natomiast w konkluzjach stwierdza, że „tylko ocena przeprowadzona w trybie *peer review*, przez kompetentnych i działających zgodnie ze standardami etycznymi ekspertów da pożądany efekt” (tamże, s. 479). W opublikowanym w 2021 r. artykule krytycznie ocenia on nie tylko ministerialną listę czasopism, ale także „nieudolnie i tendencyjnie sporządzony Wykaz wydawnictw publikujących recenzowane monografie naukowe (z «charytatywnym», życzliwym podejściem ministra Gowina do upychania w nim niszowych wydawców ulokowanych w szkołach o charakterze nieakademickim, organizacjach niemających związku z nauką oraz instytucjach kościelnych), zwłaszcza tego z Poziomu I (...)" (Brzeziński 2021, s. 13 i n.). To przecenianie rangi niektórych wydawców takich monografii ma istotne znaczenie zwłaszcza dla uczonych-humanistów, bowiem „przykładają oni większą wagę do monografii niż przedstawiciele nauk ścisłych, przyrodniczych, medycznych, ale też psychologii”. Autor tego artykułu zwraca również uwagę na takie patologie środowiskowe jak traktowanie „wydawania czasopism jako intratnego biznesu” (ważnym dopowiedzeniem w tej sprawie jest prowadzona od kilku miesięcy dyskusja wokół MDPI – uw. wł.), a także na „represyjną politykę ministerstwa”. W konkluzji stwierdza on, że „taka represyjna polityka ministerstwa i wzbogacające ją inicjatywy samych uczelni prowadzą – bo jakże inaczej – do powstawania swoistej szarej strefy publikacji. Powstają na przykład «spółdzielnie autorów» czy zespołów «przyjaciół z boiska». Zasada działania takich doraźnie powoływanych zespołów jest prosta: «ja dopiszę cię, a ty dopiszesz mnie»”. Natomiast w generalizującej konkluzji do całego artykułu J. Brzeziński stwierdza, że „kierowanie się w ocenie dorobku naukowego (w kontekście konkursów grantowych czy awansów naukowych) jedynie wysokością wskaźników bibliometrycznych artykułów opublikowanych w czasopismach jest niedopuszczalne” (tamże, s. 20). W pełni podzielam te opinie.

Nie oznacza to jednak, że wskaźniki JIF i IF uznaję za nieprzydatne nikomu. Jest bowiem taka grupa zawodowa, która może je z powodzeniem stosować w praktyce. Są to ci bibliotekarze, którzy wobec lawinowo rosnącej liczby publikacji potrzebują selektywnego sposobu zamawiania do bibliotek tych pozycji, które mogą być przydatne uczonym w większym stopniu niż inne. Wskazują na nich i na właściwe miejsce tych bibliometrycznych wskaźników Robin Ch. Roemer i Rachel Brochard w książce pt. *Meaningful Metrics*. Ich zdaniem to bibliotekarze mają odpowiednie kwalifikacje do posługiwania się nimi. Natomiast „badacze i czołowi administratorzy są niedoinformowani, niepewni, przestraszeni i obawiają się, że nowe metryki reprezentują taylorizm, oraz utratę naukowego rygoryzmu i znaczenia” (Roemer, Brochard 2015, s. 27 i n.). Zwracają oni jednak przy tym uwagę na potrzebę uwzględniania zróżnicowania nauk



(„w przeciwnym razie może to prowadzić do nieuczciwych porównań z bardzo odmiennymi dziedzinami”), „kontekstu wpływu” (takiego m.in. jak życie codzienne) oraz korzystania z innych wskaźników (takich np. jak wpływ mediów na badania naukowe). Ich generalizujący wniosek sprowadza się do stwierdzenia, że żaden „zestaw wskaźników nie jest w stanie nadążyć dzisiaj za szybkimi zmianami w krajobrazie wiedzy naukowej”. Skłonny jestem podpisać się również pod tym wnioskiem. Jeśli natomiast miałbym sformułować jakąś generalizację ocen praktyk tych bibliometrów i uczonych, którzy wierzą w całkowitą wiarygodność wskaźników JIF i IF, to powiedziałbym, że taka wiara przynosi w nauce w gruncie rzeczy więcej szkody niż pożytku, zwłaszcza w naukach humanistycznych i społecznych.

### **Kilka ogólniejszych uwag i sugestii**

Już samo to, że pozycjonowanie uczonych ma tak długie tradycje i wyraża się w tak różnych formach skłania do postawienia pytania o jego motywę. Zapewne niepoślednią rolę odgrywają w tym te motywę psychologiczne, które się wyrażają w próbach określenia swojej w miarę wysokiej pozycji w środowisku akademickim. Rzecz jasna, łatwo jest w tym przesadzić i narazić się na śmieszność lub taką reakcję bliższego i dalszego otoczenia, z której wynika, że do naukowej doskonałości jeszcze nam sporo brakuje, a być może nawet nie posiadamy takich kwalifikacji, aby w znaczącym stopniu się do niej zbliżyć. W niejednej sytuacji życiowej umiarkowanie jest cnotą. Jednak niejednokrotnie trudno jest się na nie zdobyć zarówno tym uczonym, którzy są dopiero na naukowym dorobku, jak i tym, którzy już go posiadają, ale jest on kwestionowany przez nieprzychylnie im otoczenie. O braku umiarkowania można również mówić w tych przypadkach, w których się kwestionuje naukowe pozycje innych uczonych. W pierwszej części moich rozważań przywołałem kilka przykładów takiego braku umiarkowania w pozycjonowaniu uczonych. Bez większego trudu można ich znaleźć znacznie więcej i to nie tylko w odległej przeszłości, ale także w tej teraźniejszości, która występuje pod „naukowymi” szyldami JIF i IF. Rodzimy kreatorom takich wielkości sugerowałbym, aby jednak uważniej zapoznali się ze specyfiką różnych dziedzin i dyscyplin naukowych, lub przynajmniej nie traktowali swojego chwilowego uprawnienia do pozycjonowania innych uczonych jako czegoś trwałego. Mam tutaj na uwadze nie tylko członków KEN-u, ale także ministerialnych decydentów oraz wspierających ich ekspertów. Wprawdzie życie akademickie przetrwało już wielu takich decydentów i ekspertów, którym wydawało się, że wiedzą najlepiej, jak poprawić jego kondycję, jednak po jednym z nich przychodziło mu łatwiej, natomiast po innych trudniej wrócić na drogę do lepszej przyszłości.

W pozycjonowaniu uczonych niepoślednią rolę odgrywały i odgrywają również motywę pragmatyczne, w tym tak prozaiczne, jakimi są względy finansowe. Pojawiły się one już w okresie funkcjonowania pierwszych uniwersytetów. W przywoływanej tutaj

książce J. Le Goff przekonująco pokazuje, w jaki sposób były one wówczas realizowane (Le Goff 1997, s. 75 i n.). Później były one wprawdzie skrywane za wielkimi hasłami o misjach tych instytucji i powołaniach uczonych, jednak, gdy przychodziło co do czego, to okazywało się, że chodzi o pieniądze. Dzisiaj już nawet nikt specjalnie nie ukrywa, że odgrywają one istotną rolę zarówno przy ubieganiu się uczonych o zatrudnienie na uczelnianych stanowiskach, jak i w ubieganiu się o możliwie przyzwoicie finansowane granty badawcze, a ci, którzy je zdobywają, cieszą się nie tylko uznaniem akademickiego otoczenia, ale także dostają szanse zarówno na realizację swoich projektów badawczych, jak i na zajmowanie wysokiej pozycji naukowej. Na najbardziej prestiżowych uczelniach amerykańskich liczą się przede wszystkim ci uczeni, którzy na tym polu odnoszą najbardziej znaczące sukcesy. W polskich realiach akademickich dotychczas więcej się mówi o pozyskiwaniu przez uczonych znaczących grantów, niż się ich pozyskuje. Jednak już samo to, że się o tym tak otwarcie mówi i przynajmniej na najlepszych uczelniach premiuje się tych, którzy je uzyskują, wskazuje na to, że idziemy w kierunku tzw. komercjalizacji badań naukowych. Tym, którzy ulegli tej magii pieniądza, sugerowałbym, aby mimo wszystko łączyli to z prowadzeniem badań naukowych na faktycznie wysokim poziomie, a przynajmniej brali pod uwagę to, że nie każde takie badania dadzą się szybko i łatwo przeliczyć na korzyści finansowe.

Jestem skłonny zgodzić się z tym, że pieniądze niejednokrotnie odgrywały i odgrywają ważną rolę w akademickim życiu. Nie wystarczyły one jednak do nadania mu nie tylko jego dynamiki, ale także tej kolorystyki, który odróżnia go od innych sfer życia społecznego. Nawet ci, którzy są dopiero na początku swojej akademickiej drogi, łatwo mogą się zorientować, że równie ważną, a czasami nawet ważniejszą rolę odgrywało i odgrywa w nim mówione i pisane słowo. Jest takie powiedzenie, że „polityk jest jak mucha, bowiem można go zabić gazetą”. Nie powiedziałbym tego samego o uczonych. Ich pozycja jest jednak mocniejsza na liście tych profesji, które cieszą się zainteresowaniem i uznaniem społecznym, niż takiej „muchy”, którą można jednym krytycznym tekstem pozbawić życia. Nie znaczy to jednak, że uczoney jest w stanie długo i skutecznie stawiać czoła prowadzonej przeciwko niemu z pewnym uporem i konsekwencją takiej kampanii pomówień i oszczerstw, które dzisiaj nazywane są hejtem. Nazwa jest stosunkowo młodej daty, ale jej tradycje są długie. W tych rozważaniach przywołałem kilka przykładów takiej mowy nienawiści z przeszłości.

Wprawdzie ani w przeszłości, ani obecnie nie było i nie ma przyzwolenia na taką mowę w oficjalnych wystąpieniach, ale w prywatnej korespondencji już tak; a przecież taka korespondencja nadal jest częścią akademickiego życia, a nawet zyskała na dynamice poprzez dosyć powszechny dostęp do Internetu. Co więcej, tacy hejterzy niejednokrotnie są na tyle anonimowi, że polemizowanie z nimi może wyglądać na mówienie do ściany. Rzecz jasna, nie oznacza to, że nie należy podejmować prób takiej polemiki –

zwłaszcza w sytuacji, gdy ich mowa nienawiści stanowi zagrożenie nie tylko dla nas, ale także dla wielu innych osób. Przykładem może być ich występowanie przeciwko szczepieniom na Covid-19. Kwestią dyskusyjną jest to, czy w tej „szermierce” zwolenników szczepień z ich przeciwnikami obie strony są uprawnione do stosowania takiej samej lub podobnej „poetyki” słowa. Moje wątpliwości biorą się stąd, że niektóre określenia tak długo były w użyciu, że zużyły się do tego stopnia, iż na oponentach nie robią już większego wrażenia; bo jakie wrażenie może na nich zrobić nazywanie ich nieukami w sytuacji, gdy nie uprawiają oni żadnej nauki. Rzecz jasna, w takiej „szermierce na słowa” można sięgnąć po język „ulicy” (i czasami z niego korzystano). Problem widzę nie tyle w tym, że się niekiedy używa takiego języka, ile w tym, że zaangażowane w takich sporach strony są „głuche” na argumentację oponentów. Nie pretenduję do roli arbitra, który potrafi pogodzić takich antagonistów. Jednak jednej i drugiej stronie dedykuję to, co miał do powiedzenia na temat racjonalnej postawy Karl R. Popper. Jego zdaniem jest to taka postawa, która wyraża się „w gotowości do uznania, że ja mogę się mylić, ty możesz mieć rację, i wspólnym wysiłkiem możemy zbliżyć się do prawdy” (Popper 2006, s. 284). Jeśli już miałbym tutaj dodać od siebie, to powiedziałbym, że tak czy inaczej trzeba prowadzić poważny dialog – nawet z tymi, którzy nie są do niego ani odpowiednio przygotowani, ani też chętni.

Ostatnia z tych ogólniejszych kwestii, o której chciałbym na koniec powiedzieć parę słów, związana jest z taką autopromocją naukowych osiągnięć, z której wynika, że jest się mimo wszystko ważnym i poważnym uczonym. Bez wątpienia, jest ona dosyć wrażliwa i drażliwa. Jednak nie w Stanach Zjednoczonych. Tam bowiem jest czymś normalnym takie mówienie o swoich osiągnięciach, jakby się było, jeśli nawet nie laureatem Nagrody Nobla, to przynajmniej poważnym kandydatem do niej. Trochę żartuję (ale tylko trochę). Inaczej jest w tych krajach, które mają znacznie dłuższe tradycje akademickie niż tamten kraj. Jak to wygląda w Oksfordzie, można się dowiedzieć z przywoływanej już tutaj wypowiedzi A. Walickiego (Walicki 2014, s. 19). W Polsce różnie to wygląda u różnych uczonych. Znam takich naukowców, którzy mają amerykańskie doświadczenia akademickie i powielają w swojej praktyce amerykańskie podejście do autopromocji. Dopóty, dopóki to robią jedynie na własny użytek, takie podejście jest wprawdzie dosyć osobliwe, ale raczej mało szkodliwe dla nauki. Inaczej ta sprawa wygląda wówczas, gdy znajdują się oni w gronie osób przynajmniej formalnie uprawnionych do ustalania standardów naukowej jakości i oceniania stopnia ich wprowadzania w życie. Sytuacja staje się groźna wówczas, gdy jeszcze do tego wierzą, iż forsowane przez nich standardy stanowią „zbawienie” dla całej nauki. Moje stanowisko w tej kwestii jest w miarę jednoznaczne. Wyraża się ono w przekonaniu, że nauki były i są tak zróżnicowane, że stosowanie jednej miary dla nich wszystkich jest nie tylko nieuprawnione, ale też szkodliwe. Dla jasności dodam, że należę do osób mających sto-

sunkowo wysokie (jak na moją dziedzinę i naukową dyscyplinę) wskaźniki bibliometryczne. Jednak to nie one dają mi największą satysfakcję z wykonywanej pracy zawodowej.

### Bibliografia

- Abelard P. (1952), *Historia moich niedoli*, Warszawa: PIW.
- Brzeziński J. (2021), *Czy (i komu) potrzebne są czasopisma naukowe?*, Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny, nr 2/2021, s. 9–25.
- Brzeziński J. (2015), *Jeżeli oceniać (jednostki naukowe i badawcze), to JAK oceniać? Przeciwno IF, a za peer review*, Nowotwory Journal of Oncology, t. 65, nr 6, s. 476–480.
- Crombie A.C. (1960), *Nauka średniowieczna i początki nauki nowożytnej*, t. II, Warszawa: Instytut Wydawniczy PAX.
- Drozdowicz Z. (2017), *Stopnie naukowe za wdrożenia*, Forum Akademickie 3/2017, s. 30–32.
- Einstein A., Infeld L. (1959), *Ewolucja fizyki. Rozwój poglądów od najdawniejszych pojęć do teorii względności i kwantów*, Warszawa: PWN.
- Heller M. (2014), *Nowa fizyka i nowa teologia*, Kraków: Copernikus Center Press.
- Highfield R., Carter P. (1995), *Prywatne życie Alberta Einsteina*, Warszawa: Prószyński i S-ka.
- Hübner P. (2021), *Ludzie systemu*, Forum Akademickie nr 11.
- Le Goff J. (1997), *Inteligencja w wiekach średnich*, Warszawa: Oficyna Wydawnicza Volumen, Dom Wydawniczy Bellona.
- Kierul J. (1996), *Izaak Newton. Bóg, światło i świat*, Wrocław: Oficyna Wydawnicza Quadrium.
- Kołątaj H. (1953), *Raport z wizytacji Akademii Krakowskiej odbytej w r. 1777*, [w:] Wybór pism naukowych, Warszawa: PWN.
- Kramer B. (2015). *Akademische Ramschwa*, Der Spiegel. Archived from the original on 24 June 2018. Retrieved 1 October 2021.
- Kulczycki E. (2017), *Punktoza jako strategia w grze parametrycznej w Polsce*, Nauka i Szkolnictwo Wyższe nr 1(49), s. 63–78.
- Marenbon J. (1997). *The Philosophy of Peter Abelard*, Cambridge: Cambridge University Press.
- Mosakowski R. (2002), *Szkolnictwo wyższe w krajach Unii Europejskiej. Stan obecny i planowane reformy*, Gdańsk: Wydawnictwo Politechniki Gdańskiej.
- Noble K.A. (1994), *Changing Doctoral Degrees: an International Perspective*, Buckingham, Bristol: Society for Research into Higher Education: Open University Press.
- Jamblich (1993), *O życiu pitagorejskim*, Wrocław: Epsilon.
- Popper K.R. (2006), *Spółczesność otwarte i jego wrogowie*, t. 2, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Porfiriusz (1993), *Żywot Pitagorasa*, Wrocław: Epsilon.
- Roemer R.Ch, Borchard R. (2015), *Meaniful Metrics*, Chicago, Illinois: The Association of College & Research Libraries, a division of the American Library Association.
- Skoble A.J. (2019), *Tenure: The Good Outweighs the Bad – A Surreponse to James E. Bruce*, Journal of Markets & Morality, t. 22, nr 1: 207–210.
- Structure of the U.S. Education System: Research Doctorate Degrees. U.S. Department of Education. Archived from the original on 27 January 2012. Retrieved 1 October 2021.
- Towpik E. (2015), *IF-mania: Journal Impact Factor jest właściwym wskaźnikiem oceniania wyni-*

- ków badań naukowych, indywidualnych uczonych ani ośrodków badawczych*, Nowotwory Journal of Oncology, t. 65, nr 6, s. 465–475.
- Trevelyan G.M. (1961), *Historia społeczna Anglii. Od Chaucera do Wiktorii*, Warszawa: PIW.
- Tuora-Schwierskott E., Malicka A. (2015), *Struktura szkolnictwa wyższego w świetle Ustawy o Szkolnictwie Wyższym w Republice Federalnej Niemiec*, Przegląd Prawa i Administracji CIII, s. 301–318.
- Walicki A. (2014), *Odpowiedź na ankietę „Przeglądu Filozoficznego”*, Przegląd Filozoficzny – Nowa Seria nr 1 (89).
- Williams J. (2001) *Arius: Heresy and Tradition*. Eerdmans: Grand Rapids (MI).
- White M., Gribbin J. (1998), *Darwin. Żywot uczonego*, Warszawa: Prószyński i S-ka.

### Positioning of scholars

The academic community was and still is a community of scholars taking various positions. Problematic was and still is the changing of ways we set these positions in both, in relation to a long lasting academic tradition and in a much shorter period of academic activity of particular scholars. Some of these ways did show in a greater extent its own usability and some in lesser. In these remarks I make the attempt to point out those who did work out well and in some way still do and which ones should be history by now. However it is not all. Relatively recently ways of positioning of scholars occurred that are in some perspectives innovative and widely applied (also in Poland). Nevertheless they do have in the academic milieu its followers and radical opponents. The bibliometric positioning of scholars is one of those ways.

**Key words:** institutional positioning, titular positioning, bibliometric positioning

